

Tytuł: „Uśpione w nas demony” - fragmenty

Autor: Krzysztof Wilk

„Adwokat jest przekonujący, jeżeli sąd preferuje jego stanowisko, ocenione zgodnie z ciężarem dowodu i standardem dowodzenia”. To cytat z pierwszych słów wykładu profesora Walczaka, który na ostatnim roku studiów odmienił spojrzenie Gerarda na cały proces edukacji prawniczej. Był już prawie przekonany, że ze studiów nie wyniesie nic poza wiedzą teoretyczną, i gotował się na początek swojej prawniczej kariery jako kompletny żółtodziób, gdy na ostatnim roku trafił na nieobligatoryjne zajęcia z wystąpień sądowych prowadzone przez profesora Walczaka – młodego jak na ten tytuł naukowy praktykującego adwokata, który swojego fachu nauczył się przed londyńskim sądem koronnym. Te zajęcia to była całkowita odmiana, a do tego Gerard dostał zaproszenie na praktyki studenckie do zespołu kancelarii profesora Walczaka. Praca non profit, ale za to imponujący punkt w CV każdego prawnika i co najważniejsze – absolutna pierwsza liga, jeśli chodzi o szkolenie.

\*

– Szanowni państwo, dziś w ramach modułu dotyczącego przesłuchania świadków strony przeciwnej chciałbym przekazać wam jedną myśl, którą warto sobie zapisać, zapamiętać, wytatuować, wyryć w marmurze. Jak kto woli. Zasada brzmi: nigdy, przenigdy i pod żadnym pozorem, choćby nie wiem co, nie wolno żadnemu świadkowi, a już na pewno świadkowi strony przeciwnej, zadawać pytania „dlaczego?”.

Profesor Walczak, jak każdy prelegent zakochany w barwie własnego głosu, odczekał trzy dramatyczne sekundy i ponowił:

– Nigdy! – Po chwili kontynuował: – Część z was nie zapamięta tej nauki, a część mi po prostu nie uwierzy na słowo i będzie chciała się na własnej skórze przekonać, co się wtedy stanie. Otóż jeżeli w swej przebiegłości, myśląc że przyszpililiście delikwenta, poprosicie, żeby świadek coś wam wyjaśnił, to miejcie pewność, że on coś zawsze wymyśli. W prawdziwym życiu nie jest tak jak w amerykańskim filmie, świadek nie spuchnie pod serią waszych inteligentnych pytań i nie przyzna pokonany, że nie potrafi wyjaśnić jakiegoś faktu albo nieścisłości. Jeżeli wydaje się wam, że świadek nie ma wyjaśnienia, to pamiętajcie, że on tam na sali sądowej walczy o życie i że bez wątplenia coś wymyśli i to na pewno nie będzie zgodne z waszym wyjaśnieniem, przez co zniweczy to ostatnie. To wy, szanowni państwo,

jako adwokaci jesteście od wyjaśniania i pozostawianie tej możliwości świadkowi jest co najmniej dużą nieostrożnością, a najczęściej samobójstwem. Powinniście zazdrośnie strzec swoich przywilejów do wyjaśniania, a świadków, i to w szczególności świadków strony przeciwnej, pytać o fakty, a nie o uwagi i wyjaśnienia. Zdarzy się oczywiście, że coś w zeznaniach świadka strony przeciwnej jest niejasnego lub niespójnego z innymi dowodami. Wtedy stosując metodę, którą szczegółowo omówimy i przećwiczymy na kolejnych zajęciach, wprowadzicie świadka na dowodową szubienicę, żeby sam pod wpływem precyzyjnych pytań zamkniętych założył sobie stryczek na szyję. To technika, którą można szkolić, a prawidłowo zastosowana prawie zawsze zadziała. Ale nigdy, przenigdy nie pytajcie „dlaczego?”.

\*

Sterta białych teczek narobiła hałasu, upadając na biurko. Sędzia Marta Nowak podniosła wzrok i pomyślała, że posłanniczka tych akt, przepraszając całą sobą, zachowała się jak osoba, która dokłada brudny kubek do zlewu wtedy, gdy ktoś inny właśnie kończy myć naczynia.

To skojarzenie wywołało u niej nawet rozbawienie, a jeszcze kilka lat temu załamałaby się, wściekła, rozplakała lub zadzwoniła do ośrodka zdrowia, żeby spróbować załatwić sobie L4. To było na oko z piętnaście kilogramów akt, same nowe sprawy, co oznaczało jakieś dziesięć godzin pobieżnego czytania i ze trzydzieści na wstępne merytoryczne rozpoznanie. Tak na dobry początek. Łącznie czterdzieści godzin, czyli bity tydzień pracy tylko nad tym, co właśnie nieomylny system losujący jej przydzielił. A gdzie czas na zajęcie się dwoma setkami innych spraw, które są aktualnie w jej referacie, pismami w tych sprawach, wpadkowymi postanowieniami, uzasadnieniami wydanych wyroków w sprawach, które cudem udało się zakończyć, i nie zapominajmy – gdzie czas na przeprowadzenie dziesiątek rozpraw, które czekają w kolejce.

To było bardzo przykre, gdy musiała się pozbyć skrupulatności na rzecz zdolności „dowożenia” tematów, a jeszcze smutniejsze było pogodzenie się z tymi wszystkimi małymi kompromitacjami związanymi z niedostateczną znajomością prowadzonych spraw, które prędzej czy później muszą nastąpić mimo zastosowania wszelkich trików, jakie sobie wypracowała przez lata praktyki. Niestety marzenie o komforcie spokojnego zagłębienia się w istotę rozpoznawanej sprawy, wnikliwego przesłuchania świadków, przeanalizowania dokumentów i rozważania, czy nie należałoby podjąć jeszcze jakichś czynności z urzędu,

zniknęły już pierwszego dnia asesury. Na to wszystko po prostu nie ma czasu i gdy sędzia ma dwieście spraw na biegu, kilkunastomiesięczne opóźnienia w wyznaczaniu rozpraw i kilkanaście skarg na przewlekłości jego pracy, do których trzeba się ustosunkować, a ktoś rzuca mu na biurko piętnaście kilogramów nowych papierów, to jeżeli nie jest aktualnie w trakcie terapii i nie ma przepisanych leków, może pomyśleć z entuzjazmem o uchylonym oknie swojego gabinetu na siódmym piętrze.

Marta wybrała pierwszą z brzegu teczkę i obiecała sobie w duchu, że nie rozproszy się i nie oderwie od pracy, dopóki jej nie przegładnie. Jej uwagę przykuło logo kancelarii Roberta Walczaka, którego znała z widzenia w czasach studiów i który był obecnie jedną z najbardziej intrygujących postaci warszawskiej palestry. Ciekawostką w jego przypadku było to, że mimo iż miał legendarne zdolności erystyczne, nigdy nie pojawiał się osobiście w sądzie.

Niezależnie od tego, jak ważna była sprawa i jak kluczowy moment postępowania, w sądzie zawsze zastępowali go aplikanci. Walczak zapewniał im merytoryczne wsparcie i trening, ale sam nigdy do sądu nie przychodził. Za to ci młodzi przychodzili przygotowani tak, że bali się ich inni znani adwokaci i żaden sędzia nie lekcewał aplikanta przysłanego przez Walczaka. To byli wybitni młodzi prawnicy występujący przed sądem z pasją, jaką można mieć tylko na początku drogi zawodowej. Marta zawsze lubiła wokandy z pełnomocnikami od Walczaka, ponieważ te sprawy nigdy nie były banalne, a jego wojownicy organizowali istny spektakl.

Z zainteresowaniem odnalazła ustęp z żądaniem wniosku, w którym jedna ze znanych lewicowych organizacji pozarządowych reprezentowana przez Walczaka domagała się ochrony dóbr osobistych naruszonych przez pravicową organizację polityczną „Odnowa”. Pierwsze rozczarowanie związane z – wydawałoby się – banalnym przedmiotem sporu szybko minęło, gdy Marta doszła do treści wniosku o udzielenie zabezpieczenia: „Wnoszę o zawieszenie w czynnościach całego składu zarządu organizacji »Odnowa« i powołanie w miejsce zarządu Komisarza oraz o zawieszenie uprawnienia organizacji »Odnowa« do pobierania wszelkich dotacji i dofinansowań ze środków publicznych do czasu prawomocnego zakończenia postępowania”.

Marta poczuła ukłucie lęku – uczucia, które dobrze znała. Nie ma co ukrywać, że nawet nie wiedziała, że taki wniosek można złożyć do sądu, a pewnie można, skoro złożył go Walczak, i to akurat ona jest tym sądem, do którego on ten wniosek skierował... Bała się, że wyjdzie na to, że jest niekompetentna, bała się kompromitacji. Teraz ona będzie musiała się tym wnioskiem zająć i poczuła się znów jak pierwszego dnia służby sędziowskiej, gdy ubrała togę

i łańcuch z orzełkiem, ale czuła się jak oszustka. Niby zdała te wszystkie egzaminy, ale zupełnie nie czuła się przygotowana do pracy sędziego i wchodząc na salę, miała wrażenie, że zaraz to się wyda, że wszyscy się dowiedzą, że Marta Nowak jest ignorantką, która nie przeczytała z uwagą wszystkich kodeksów, miała słabe oceny na egzaminach, a teraz nie poradzi sobie jako sędzia. I poczuła, że nie chce tam być, że niby człowiek czeka na taki wniosek całe życie, żeby w końcu zdecydować o czymś ważnym, ale gdy to się już dzieje, to pragnie uciec na koniec świata i pozostawić tę sprawę innym, prawdziwym sędziom.

Zamknęła oczy i pomyślała: „Weź się, kurwa, w garść”. Po kilku głębszych oddechach przypomniała sobie to, co próbował wytłumaczyć jej terapeuta, że nigdy nie poczuje się bardziej pewna siebie, niż jest teraz, i że w całym tym budynku nie ma nikogo, kto jest lepiej przygotowany do poprowadzenia takiej sprawy, bo do takich rzeczy nie da się przygotować, że ma wiele lat doświadczenia i w miarę dobrze sobie radzi i że to jest jej szansa, i że nie ma prawa sama się jej pozbawiać ucieczką. Jeszcze raz przypomniała sobie, że jest mianowanym sędzią od dwudziestu lat, a od ośmiu w sądzie okręgowym, i nigdy by nie dotarła do tego miejsca, gdyby nie była gotowa zająć się tym wnioskiem. Sprytnym wnioskiem mecenasa Walczaka, który pod przykrywką ochrony dóbr osobistych chce de facto zawiesić skrajnie prawicową partię polityczną, a przynajmniej odciąć ją od publicznego finansowania. Motywy, które zapewne w elokwentny sposób Walczak przedstawił w uzasadnieniu wniosku, są oczywiste.

„Wszyscy wiedzą że to faszyci” – pomyślała i z pełnym skupieniem i wypiekami na twarzy zaczęła lekturę wniosku, rozważając każde użyte w piśmie słowo.